

GROZA SIĘ CZAI

Dziesiąty listopada 1944 roku, nie zapowiadał niczego szczególnego. Przedpołudniowe zajęcia w Liceum Zamojskiego. Traktuję całe to moje dokształcanie się, jako coś tymczasowego, jako przerywnik w służbie polowej w oddziale Kedywu mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, w skład którego jeszcze kilka miesięcy temu wchodziłem.

Dochodziła piąta po południu. Postanowiłem w drodze na Lubartowską, wpaść do mego nieodłącznego Przyjaciela, a bezpośredniego d-cę w Oddziale, Wojtka Kozłowskiego, ps. „Tomek”, zamieszkującego pod adresem Rynek 12, by ustalić godzinę, od której zaczniemy wieczorne „szaleństwa”. Konieczną jest w tym miejscu informacja, że pod adresem tym mieścił się jeden z głównych konspiracyjnych lokali Sztabu Okręgu A.K. W okresie „niemieckim” czystość sytuacji i brak zagrożenia ilustrowała obecność kwiatu w doniczce w jednym z parterowych okien. Kto by się jednak takimi drobiazgami przejmował. Zlekceważyłem je i drogo przyszło mi za to zapłacić.

Wojtka – jak się okazało – nie zastałem. Za to ku memu zdziwieniu, otworzył mi drzwi żołnierz sowiecki, zapraszając mnie gestem do wewnątrz. Pomyślałem przez chwile, że to może lokator na kwaterze, takie rzeczy były przecież na porządku dziennym i na nikim nie robiły wrażenia. Po wejściu, żołnierz zamknął za mną drzwi, przekręcił klucz w zamku, a następnie z inną już miną i zupełnie innym głosem szorstko rzucił: „wasze dokumenty”! Wszystko to odbyło się tak szybko i stanowiło wydarzenie tak niespodziewane, nowe, że działało się jakby poza mną. Odebrano mi Kennkartę, wyjęto z ręki menażki i polecono przejść do pokoju, gdzie wpadłem na domowników. Stałem naprzeciwko nich zgłupiały, w płaszczu jesiennym i zielonym tyrolskim kapeluszu. Byli jacyś ludzie obojga płci, których nie znałem. Po pewnym czasie sytuacja przechwycenia wchodzących powtórzyła się z innymi jeszcze osobami, a m.in. z listonoszem, któremu nie pomogła nawet torba pełna listów.

Rozpoczął się dziwny tydzień w tzw. „kotle”. Nikt z nami nie rozmawiał, pozostawiono nam względną swobodę (poza kategorię, popartym gestem z pistoletem zakazem podchodzenia do okien). NKWDyści byli na swój sposób uprzejmi. Zajmowali się zaopatrzeniem spiżarni, chodzili nawet po papierosy. Po kilku dniach dało się zauważyć nawet coś w rodzaju zażyłości towarzyskiej. Ich komendant grywał chętnie z babulką w „durnia”, notorycznie przegrywając. Kiepska to była jednak satysfakcja. Było ich stale przynajmniej trzech. Mój Boże, teraz myślę, jak łatwo było ich

obezwładnić. Było nas tam kilku krzepkich mężczyzn, niektórzy z doświadczeniem partyzanckim, zdecydowani na wszystko. Sądziliśmy jednak, że ma to charakter tymczasowy i stanowi po prostu nieporozumienie, które w krótkim czasie wyjaśni się. Denerwującym było jednak, że nikt z nami nie rozmawiał. Nikt oficjalny. Jedynie Matka Wojtka i Ciocia „Dragon” były systematycznie, codziennie gdzieś zabierane. Przed wyjściem klękały przed obrazem z Matką Boską i modliły się. Ich relacje po powrocie były skąpe. Przesłuchiowano je, a że tkwiły po uszy w konspiracji, można było sobie samemu na wątpliwości odpowiedzieć.

Z osób, które wraz ze mną dzieliły te przeżycia, była żona komendanta Szkoły Podchorążych AK Janina Engelking (policyjne nazwisko Zdanowicz) w zaawansowanej ciąży, był Władek Gogoliński, szwagier rotmistrza kawalerii Skarżyńskiego, kolega z podchorążówki ps. „Szpica”, Stanisław Stasicki miły kulturalny pan, Bolek Lipiński wcześniej mi nieznany, a jak się później okazało „brat łąta” najwyższej wartości, wreszcie Andrzej Worobiej, dozorca więzienny z lubelskiego zamku, tkwiący w nim z rozkazu dowództwa AK. Nie pamiętam nazwisk ani twarzy innych. Wszyscy jedliśmy to samo, przeżywaliśmy to samo i spaliśmy na tej samej twardej podłodze, kilkanaście osób, zdezorientowanych i z biegiem dni coraz bardziej zaniepokojonych. My po prostu zniknęliśmy ze świata, nie wróciliśmy do domów i wszelki ślad po nas zaginął. Jak to się prosto dzieje.

17 listopada – nie pamiętam pory – dyżurujący strażnicy sowieccy kazali nam się ubierać. Nie wszystkim. Objęci tym rozkazem zostali Stasicki, Gogoliński, Worobiej i ja. Wyprowadzali nas pod silną obstawą z pepeszami skierowanymi w naszym kierunku, z ostrzeżeniem strzelania bez uprzedzenia, gdyby komuś zachciało się uciekać. Przed domem na Rynku stała tyłem ciężarówka okryta plandeką. Podjechała pod same schodki, z których bezpośrednio – ponaglani niecierpliwym „bystrej” – wdrapywaliśmy się kolejno na platformę samochodu. I tu niespodzianka. Okazało się, że znajdują się tam już ludzie. Siedzieli rzędami w taki sposób, że nogami obejmowało się siedzącego z przodu. Pozycja wystudiowana i uniemożliwiająca wyskoczenie. Te okrzyki „bystrej”, „skarej”, towarzyszyły mi przez cały czas, aż do końca pobytu w roli więźnia. Były jeszcze inne, uniwersalne „dawaj, dawaj” i obraźliwe, pogardliwe „ty job twoju mać”, stale, na każdym kroku. Ohyda. Po zajęciu miejsca, usłyszałem raptem „panowie, do piachu...”. Obezwładniło mnie to zwłaszcza, że kątem oka przed wskoczeniem do wnętrza, zauważyłem przymocowane do burty samochodu łopaty.

Jechaliśmy krótko. Wyładowali nas, w podobny, zakamuflowany sposób do domu przy ulicy Narutowicza nr ?

Po kilku godzinach znów załadunek i przewóz na ulicę Nowy Świat do baraków. Doznania jakie

odebrałem w tym nowym kolejnym m.p. były złowrogie. Kazano nam się rozebrać i zapędzono do łaźni, zabierając gdzieś ubrania (jak się później okazało do odwszalni, nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje). Poddano nas przymusowym postrzyżynom, prawie na zero i wymazano nam włosy na ciele jakąś cuchnącą mazią. Funkcję obsługujących łaźnie, „zakład fryzjerski” i dezynfekcję spełniali jeńcy niemieccy. Było to ciężkie do wytrzymania i upokarzające, ale przecież o to właśnie chodziło. Jakiś pan z brodą prosił błagalnym tonem fryzjera, by mu ją zostawił (aber bard nicht). Zostawił, ale wysmarował tym świństwem, za pomocą pędzla, którym przed momentem dotykał u innych osób intymnych części ciała, a w dodatku tym śmierdzącym płynem. Myślę, że Niemiec uczynił to z wielką Schadenfreude. A Panem, o którym wspominam był Leonard Zajączkowski, człowiek przedwojennego filmu.

Noc przeszła szybko. Spaliśmy na piętrowych leżach. Rano zmarzniętych i spekulujących na temat przyszłości, wypędzono na dwór i kazano się rozebrać do bielizny. Był śnieg, wiatr i minusowa temperatura. Stałem niemal nago, czekając na swoją kolejkę. Przypomniały mi się w tej godzinie książki, które przed wojną wpadały mi w ręce o obozach w Rosji Sowieckiej. O tych usiłujących się ogrzać wzajemnym ciepłem ludziach, trzymanyh nago, w zimie, na wyspach sołowieckich. A więc, to wszystko co mogłoby być traktowane za propagandę i tendencyjną niechęć, ja uwiarygadniam. To jest prawdziwe oblicze bolszewików, tacy są rzeczywiście.

Całe moje ubranie, łącznie z butami, poddane zostało skrupulatnej rewizji, przeszukano wszystkie zakamarki. Zabrano wspomniane kilkaset złotych od babulki, zegarek i wszystkie drobiazgi, jakie normalny chłopiec w moim wieku nosić zwykł w kieszeniach. A mimo to została gdzieś na dnie kieszonki mała zezulka, którą kiedyś dostałem w prezencie, jako maskotkę od Niusi Hakielówny. Byłem skostniały. Ledwo zdołałem ubrać się ponownie. A potem?

Bezpośrednio potem, pod konwojem z psami, poprowadzono nas w kierunku torów kolejowych i ładować zaczęto do towarowych wagonów. Jechałem w wagonie pierwszym, w gronie siedemdziesięciu innych mężczyzn. Było tak straszliwie ciasno, że wszyscy nie mogli jednocześnie się położyć, siedzieliśmy więc z podkurczonymi nogami, niektórym udało się znaleźć miejsce przy ścianie. Wagon towarowy, z brudną podłogą, ze stojącym po środku piecykiem żelaznym tzw. kozą i biegnącą od niego rurą, wyprowadzoną na zewnątrz. W kącie około dwóch wiader węgla, którego część rozprowadzona została butami po całej powierzchni podłogi. Z boku wmontowany kawałek rury kanalizacyjnej – nasza toaleta. Odrutowane małe okienka. I cisza!!!

Wieczorem transport ruszył. Zatrzymał się po kilku minutach w pobliżu dworca lubelskiego. Chcąc zademonstrować swoją obecność i sytuację, zaczęliśmy śpiewać rotę. Śpiewał cały pociąg. Strażnicy znajdujący się w budkach przy każdym wagonie, rozpoczęli walenie w ściany, chcąc nas

uciszyć. Daremnie. I ruszyliśmy wreszcie, w kierunku nieznanym, w niepewność, bez szans i perspektyw. Nie potrafię odtworzyć, o czym myślałem. Przypomniały mi się jednak słowa wypowiedziane przez jednego z zatrzymanych, jeszcze w baraku na Nowym Świecie: „Nie mam złudzeń, jedziemy na białe niedźwiedzie”. Zaoponowałem wówczas głośno, twierdząc, że nie ma żadnych podstaw do takich przypuszczeń. Jakże się omyliłem!

Pisane w Kazimierzu nad Wisłą w lipcu 1990 r.